

TEMATY TYGODNIA

- 10** Pisarz Ziemowit Szczerek, tegoroczny laureat Paszportu POLITYKI, prosto ze Lwowa i z Kijowa
- 16** Piotr Andrusieczko UKRAINA To jest rewolucja

SPOŁECZEŃSTWO

- 20** Paweł Walewski Pseudoleki na pseudochoroby
- 23** Ewa Wilk Czy rzeczywiście wiemy, jak sobie poradzić z pedofilią?
- 26** Anna Dąbrowska Andrzej Duda – nowa siła PiS
- 28** Agnieszka Sowa DOSSIER Strach na porodówkach
- 32** Barbara Pietkiewicz Rodzice samobójców
- 34** Piotr Pytlakowski Dramat skruszonego gangstera

RYNEK

- 37** Joanna Solska ZUS: życie wewnętrzne molocha
- 40** Urszula Szyperska Kto nam sprzeda mieszkanie

ŚWIAT

- 42** Filip Gańczak NIEMCY Obywatel imigrant
- 46** Tomasz Zalewski ONZ Samantha Power: trudne życie ambasadora USA
- 48** Aleksandra Lipczak HISZPANIA-IRLANDIA Zbliżenie aborcyjne

PORTRETY MIAST POLSKICH

- 51** Edwin Bendyk, Juliusz Cwieliuch, Piotr Sarzyński Bydgoszcz i Toruń – wieczna rywalizacja

NAUKA

- 67** Andrzej Hołdys Atlantyk psuje pogodę
- 70** TECHNOECHO



10, 16 UKRAINA Zima ludu



20 Niebezpieczne paraleki



23 Bez emocji o pedofilii



80 Oscary: kto wygra, kto przegra

HISTORIA

- 72** Jan M. Długosz Europejskie sztuki walki

KULTURA

- 80** Krytycy filmowi POLITYKI typują, kto dostanie Oscara
- 84** Rozmowa z laureatami teatralnego Paszportu POLITYKI **Jolantą Janiczak** i **Wiktorem Rubinem** o teatrze gender i szaleństwach romantyków
- 86** KAWIARNIA LITERACKA Krzysztof Siwczyk
- 88** Bartek Chaciński **Dave Van Ronk – wielki nieznan bard**
- 90** Justyna Sobolewska **Znikają księgarnie**
- 93** MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

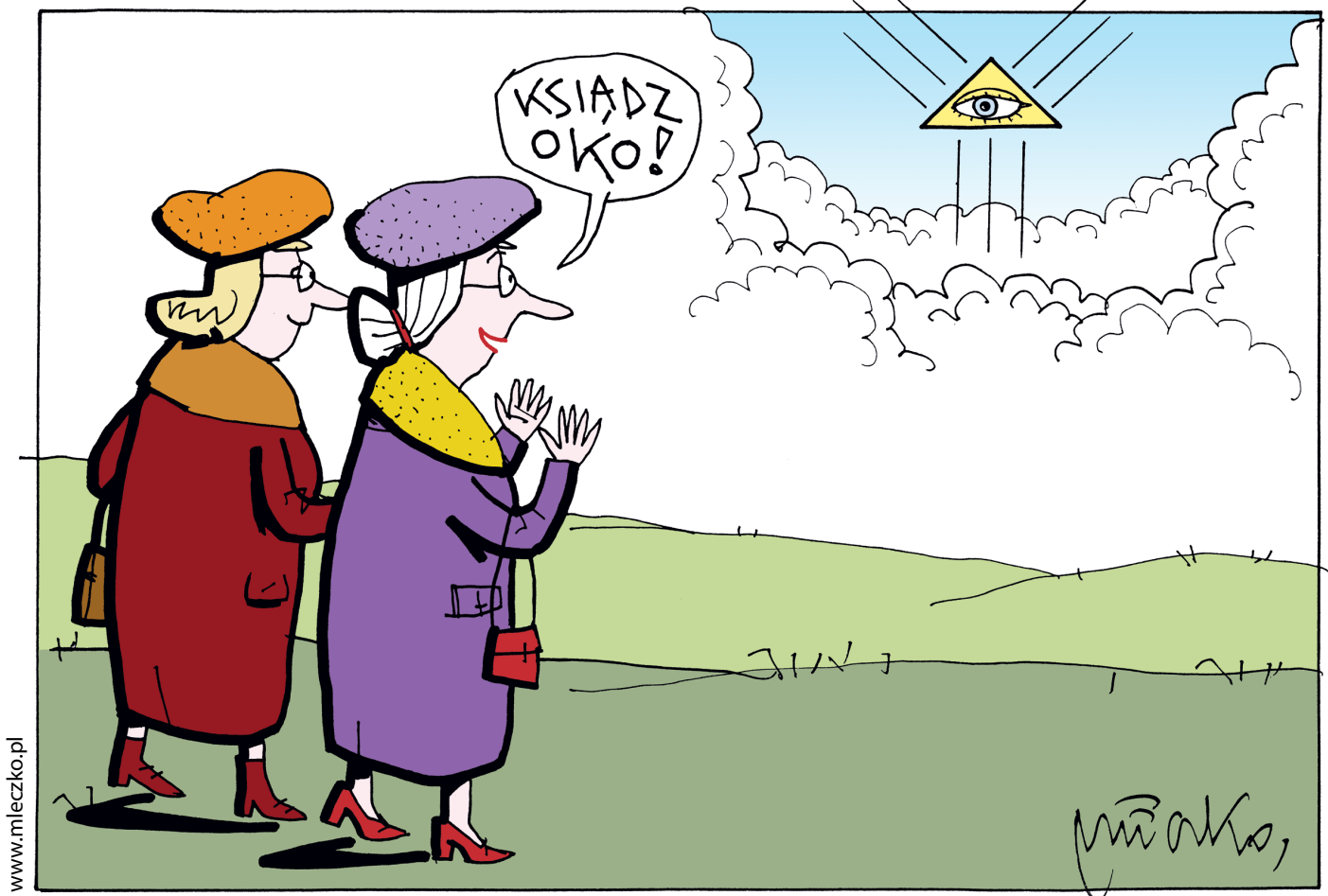
- 94** Rozmowa z **Robertem Levine'em** o postrzeganiu czasu w różnych częściach świata
- 97** Olaf Szewczyk **Największa bitwa w historii gier**
- 99** Marcin Piątek **Soczi: rozrachunki po igrzyskach**

NA WŁASNE OCZY

- 108** Ilona Wiśniewska, fotografie Rafał Milach **Polacy z Islandii**

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **5** Ludzie i wydarzenia
- **76** Afisz • **102** Passent
- **104** Stomma
- **105** Do i od redakcji
- **106** Fusy, plusy i minusy
- **114** Polityka i obyczaje



www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Wielkie święto demokracji

PiS i PO rozpoczęły właśnie przygotowania do kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Jej kulminacyjnym momentem będzie jak zawsze nieodbycie się telewizyjnej debaty między Donaldem Tuskiem i Jarosławem Kaczyńskim. Niedojście do skutku tej debaty w studiu którejś z ogólnopolskich stacji telewizyjnych to wydarzenie mające w naszej kulturze politycznej sporą tradycję, nic dziwnego, że wyborcy oczekują na nie z zainteresowaniem.

Wymiana zdań na temat tego, z czyjej winy i z jakich przyczyn debata między Tuskiem a Kaczyńskim nie będzie możliwa, już się toczy. Obaj politycy na razie wstępnie zadeklarowali, że nie wezmą w debacie udziału na zasadach, które proponuje im druga strona. W tym roku prezes Ja-

rosław Kaczyński jako pierwszy zaprosił premiera do debaty na temat zdrowia z udziałem specjalistów. W odpowiedzi premier zaproszenie odrzucił, wytykając prezesowi, że dobre wychowanie wymaga wspólnego ustalenia daty i miejsca spotkania, a nie narzucania go „w taki trochę arogancki sposób”. W zamian złożył propozycję spotkania się z Jarosławem Kaczyńskim sam na sam, którą odrzuciło otoczenie prezesa, dając do zrozumienia, że „na bicie piany” z premierem Jarosław Kaczyński nie ma czasu. Zresztą, zdaniem posła Hofmana, debata byłaby możliwa tylko wtedy, gdyby premier przedtem „przeprószył Polaków za sześć lat swoich rządów”, a i to nie na pewno, bo „skoro premier się boi, nie ma argumentów i tchórzy, to nie ma co z nim rozmawiać”.

Sztaby wyborcze obu partii są przekonane o potrzebie kontynuowania dyskusji o debacie Tuska z Kaczyńskim, gdyż dyskusja taka to wielkie święto demokracji. Panuje opinia, że nie ma mowy

o dojrzałej demokracji, jeśli nie ma szans na odbycie poważnej dyskusji o możliwości zorganizowania takiej debaty. Dyskusja powinna się odbyć na żywo w telewizji publicznej zaraz po „Wiadomościach”, gdyż jest bardzo ważne, żeby jasno i precyzyjnie wyjaśnić Polakom, dlaczego debata Kaczyńskiego z Tuskiem nie jest możliwa w żadnym terminie i na żadnych zasadach, i żeby Polacy mogli wyrobić sobie opinię na temat tego, kto stchórzył.

Podobno partyjne sztaby mają już gotowy zestaw najważniejszych tematów, których Tusk i Kaczyński w debacie nie poruszą dlatego, że się nie odbędzie. Z uwagi na to, że debatę pomiędzy Tuskiem i Kaczyńskim na te akurat tematy wyborcy bardzo chcieliby usłyszeć, przedstawiciele PiS i PO zapewniają, że trwająca między nimi wymiana zdań w sprawie niemożności przeprowadzenia debaty będzie prowadzona tak długo, jak będzie trzeba, czyli prawdopodobnie aż do znudzenia.

Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda?

Zdarzyło się coś niesłychanego! Jarosław Kaczyński nie zrugął Tuska, że klęczy przed Rosjanami i że w sprawie Ukrainy nic nie robi. W każdym razie nie tyle, ile on by zrobił, bo przecież on zażądałby natychmiastowego zwołania Rady Europejskiej, już dawno zmusił Europę do sankcji, odwołał się do NATO i wszystkich innych organizacji. Kaczyński pochwalił premiera Tuska, że chciał sankcji i powiedział, że premiera popiera! Komentatorzy wpadli w zachwyt. Oto przełom – głosili niektórzy – a przynajmniej jego zapowiedź. Nowy trend, wyraźna przemiana Kaczyńskiego w łagodnego starszego pana z telewizyjnego spotu zachwalającego program swej partii, ten bogaty w bilion, prorodzinny, z powszechnym leczeniem dla każdego. Po prostu cud prawdziwy. Nareszcie opozycja z rządem mówi jednym głosem w ważnej zagranicznej sprawie, co wprawdzie kilka lat temu było sprawą tak oczywistą, że prawie niezauważalną.

W ogólnym zachwycie nad postawą Kaczyńskiego przeoczono jakoś, że w ukraińskiej debacie jedyną konstruktywną propozycję, otwierającą drogę do wspólnej rozmowy opozycji z rządem, złożył Janusz Palikot, który zaproponował konsultacje tych, którzy znają się na problemach ukraińskich. Premier pomysł podchwycił i narada się odbyła, m.in. z udziałem Aleksandra Kwaśniewskiego, Włodzimierza Cimoszewicza, Adama Rotfelda, czyli ludzi, których kompetencji podważyć się nie da. Mają odbywać się następne. Oczywiście Jarosław Kaczyński, ta „ikona Majdanu”, jak to głoszą co bardziej usłużni członkowie PiS, przybyć nie raczył. Nie przybył, mimo że tak bardzo ceni rozmowy ekspertów i chce debat eksperckich, a nie rozmowy z „rządem głupków”. Kaczyński do gmachu Kancelarii Premiera może wejść wyłącznie jako premier, a nie jako gość Tuska, podobnie jak w prezydenckim pałacu może pojawić się wyłącznie jako prezydent, a nie gość jakiegos Komerowskiego.

Zgoda z rządem skończyła się zresztą dzień później, kiedy Kaczyński otwarcie zaatakował ministra Radosława Sikorskiego za jego ostrzeżenia, bardzo realistyczne zresztą, pod adresem ukraińskiej opozycji. Okazuje się, że słowa Tuska w Sejmie jeszcze jakoś znieść można, ale sukcesu Sikorskiego nawet „odmieniony” prezes znieść nie jest w stanie. Bo Sikorski niewątpliwie odniósł sukces, wspólnie z ministrami spraw zagranicznych Niemiec i Francji,

uruchamiając proces zmian politycznych na Ukrainie. Zahamowany został rozlew krwi i za to wypada dziękować albo przynajmniej milczeć. Okazuje się, że nawet milczenie było ponad siły prezesa. Z nadziei na jakąś zgodę nic nie pozostało. Ciekawe, jak długo komentatorzy będą się nabierać na przemiany Jarosława Kaczyńskiego, na te kolejne „nowe twarze”?

Nic też nie pozostało z powagi, w jaką przystroił się Sejm w trakcie ukraińskiej debaty. Następnego dnia mieliśmy już konflikt w sprawie uhonorowania płk. Kuklińskiego. Tym razem była to awantura z lewicą, ale mało już kto rozróżnia, kto się z kim awanturuje. Od dawna twierdzą, że w okresach przedwyborczych Sejm powinien sobie nałożyć kaganiec w sprawie przyjmowania uchwał, które nie mają znaczenia, a do opinii publicznej przebijają się tylko wówczas, gdy posłowie zwyzywiają się od hołoty, pacholków albo niewolników Rosji. Tym razem niewolnikiem Moskwy okazał się Leszek Miller. Oberwał od PiS i Solidarnej Polski, która specjalizuje się w wywoływaniu kontrowersji, bo jako partia bez szans wyborczych za wszelką cenę próbuje zwrócić na siebie uwagę, zwłaszcza zaś okazać się bardziej patriotyczna niż PiS. Tymczasem Miller akurat był tym premierem, który rozpoczął proces rehabilitacji płk. Kuklińskiego, co nakazywałoby przynajmniej pewną wstrzemięźliwość w rzucaniu epitetów. W każdym razie czar zgody prysł ostatecznie i wróciliśmy do realiów polskiej polityki.

Ta zaś w minionym tygodniu ćwiczyła także inne elementy jazdy obowiązkowej. Jednym z nich jest debata o debacie, brutalnie przerwana przez wydarzenia na Ukrainie. Warto jednak do tematu wrócić, choć żadnej debaty Kaczyński–Tusk nie będzie. Po tradycyjnych przepychankach, kto z kim ma rozmawiać i czy w ogóle rozmawiać, PiS zaproponował rozmowę ekspertów o zdrowiu. Nie ukrywam, wołałabym o państwie, bo na państwo PiS pomysł niewątpliwie ma – to ciągle doskonałona wizja IV RP. Tym razem z sądami ludowymi wycierającymi sprawiedliwość w ostatecznej instancji tam, gdzie normalny wymiar sprawiedliwości nie spełnia oczekiwań władzy. Ale niech będzie



debata i o zdrowiu. Niekoniecznie jednak pod symbolicznym patronatem prof. Zbigniewa Religi, do którego testamentu PiS tak chętnie się obecnie odwołuje.

Otóż jest sprawą oczywistą, że prof. Religa ma gigantyczne zasługi i pozostawił wielki testament w postaci rozwoju polskiej transplantologii. Jednak pomysłu na reformę służby zdrowia nie miał. To, co było realnym spadkiem po nim, zniszczyli (szczęśliwie nie do końca) panowie Mariusz Kamiński (wtedy szef CBA, dziś wiceprezes PiS) i Zbigniew Ziobro jako minister sprawiedliwości i prokurator generalny (dziś już inna partia, ale zapal ten sam). Urządzili spektakl pod hasłem – „już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie”, na lata rozłożyli polską transplantologię. Jeżeli debata o zdrowiu ma mieć sens, to wypadałoby ją zacząć od rachunku własnego sumienia.

Trzeba jednak przyznać, że pojawia się coraz więcej tematów do debat. Jednym z nich jest kask Stocha. Początkowo kask był sympatyczną ciekawostką. Za sprawą Antoniego Macierewicza stał się kwestią wagi politycznej i wpisał się w tematykę smoleńską. Dzięki swej wyjątkowej przenikliwości Macierewicz odkrył, że kask Stocha, ozdobiony lotniczą szachownicą, jest oddaniem hołdu „poległym pod Smoleńskiem”. Myśl tę rozwinął organ PiS, czyli tygodnik „wSieci”, który z ogromnym zapalem objaśnił, iż Stoch z kaskiem podniósł z błota honor polskiego lotnika. Gdyby ktoś miał wątpliwości, kto ten honor unurzał w błocie, podpowiadam za organem prasowym PiS: minister spraw zagranicznych, putinowska komisja, polski premier, polski prezydent, wielu ministrów, część dowódców armii i oczywiście najbardziej media (resortowe dzieci? – to już moje pytanie). Zresztą na kasku jest nie tylko szachownica, są też nity, które odgrywają tak ważną rolę w debacie smoleńskiej, no i kask jest poprzecierany, czyli podniszczony. Może nie tak jak tupolew, ale jednak. Czyż symbolika nie jest wyraźna? Na jeszcze wyższy poziom rzecz całą dźwignął dziennik „Rzeczpospolita”, oznajmiając, że Stoch, jako prawdziwy katolik, jest lepszy od luteranina Małysza, który wersję zamachu pod Smoleńskiem odrzucał. Najwyższy więc czas na kolejne zebranie zespołu parlamentarnego Macierewicza. Kask Stocha może być przecież ważnym dowodem w sprawie. To może być nawet przełom.

Soczi – tak, Kraków – nie



Marcin Piątek

Nie ma wdzięczności na tym świecie. Organizujesz przyjęcie, zapraszasz gości, zginasz się w ukłonach, a oni, odkąd przestąpili próg twojego domu, zaczynają cię obgadywać. W przypadku igrzysk w Soczi wyglądało to tak: wypomną każdego bezdomnego psa, każdą przerwę w dostawie wody do hotelowego pokoju, podwójny sedes i każdy spóźniony autobus. Jak również śnieg z deszczem lub mgłą, które przyszły nie w porę.

Szyderycy są niebezpieczni – uzbrojeni w tliery, fejsbuki i instagramy narobią ci wstydu przed światem, zanim się obejrzysz. I tak igrzyska, które miały pokazać inną twarz twojego kraju, niektórym będą kojarzyć się z wilkiem, który grasuje w wiosce olimpijskiej. Klip z drapieżnikiem w roli głównej stał się hitem sieci, a wyjaśnienie, że była to ustawka na zamówienie amerykańskiego satyryka, przeszło niezauważone. Tak samo jak informacja, że człowiek, któremu przypisano odpowiedzialność za wpadkę techniczną podczas ceremonii otwarcia, wcale nie trafił za karę do obozu pracy.

Jeśli igrzyska miały być balsamem na rosyjskie kompleksy, to chyba nie do końca się udało, bo takie niby-sensacje z Soczi sprzedawały się świetnie. Choć niemal wszyscy uczestnicy igrzysk mówili, że impreza została zorganizowana perfekcyjnie, bogato i sympatycznie. Rosyjskie doświadczenie pokazuje jednak, że traktowanie tego typu przedsięwzięć jak narzędzia do promocji kraju jest ryzykowne. A to przecież żelazny argument podnoszony przez orędowników organizowania zimowych igrzysk 2022 w Krakowie i okolicach. Głośno o nim tym bardziej, że o rzetelny rachunek kosztów takich igrzysk trudno się doprosić.

Jak groźna jest kombinacja złej woli, niedouczenia oraz potęgi telewizji, dowiedzieliśmy się przy okazji piłkarskiego Euro 2012, gdy BBC wyemitowała tendencyjny reportaż, którego przesłanie brzmiało: jeśli nie masz białej skóry, liczą się z tym, że wrócisz z Polski w trumnie. Oczywiście jeśli ktoś chce uderzyć, kij zawsze się znajdzie. Ale w przypadku zimowych igrzysk ryzyko wpadki jest większe niż zwykle, bo wśród rozlicznych gwarancji gospodarz musi dać również tę, na którą nie ma wpływu, czyli pogodową. Jaka będzie pogoda w Krakowie i Zakopanem w lutym 2022 r.? Założymy się o 10 mld euro?

O zakończonych igrzyskach – s. 99.



© PAPIKRZYSZTOF SWIDERSKI

Pożegnanie legendy

Minionej soboty ponad tysiąc osób pożegnało w Zdziechowicach (Opolszczyzna) burmistrza – działacza mniejszości niemieckiej i najdłużej urzędującego samorządowca w kraju. **Dieter Przewdzing** został zamordowany w domu, we wtorek 18 lutego. Śledcy mówią o zabójstwie szczególnie brutalnym – zginął od ciosów zadanych w szyję ostrym narzędziem. Późnym wieczorem znalazł go w kałuży krwi znajomy, z którym umówił się na spotkanie. Ks. Józef Jureczek w emocjonalnym kazaniu mówił, że w sprawach gminy i mieszkańców można było przyjść do burmistrza o każdej porze dnia i nocy. Że jeszcze rano, w dniu śmierci, odwiedził go na probostwie, żeby dograć szczegóły świętowania 70 urodzin, które przypadają niecały tydzień później. Z urzędu wyszedł tuż po 15 – jak zwykle rzucił: cześć dziewczyny! Potem wpadł jeszcze na chwilę do mieszkającej po sąsiedzku Sybili Zimmerman, wiceburmistrz Zdziechowic. Znał zabójcę – a może zabójców? Może zaskoczył włamywacza? Mówi się, że nic wartościowego z domu nie zginęło i że nie stwierdzono śladów walki.

Po apelu Bernarda Gaidy, szefa Związku Niemieckich Stowarzyszeń, specjalny nadzór nad śledztwem objęła Prokuratura Generalna. Na wieść o zabójstwie wicewojewoda opolski Antoni Jastrzębski zapewnił, że wykrywalność tego typu przestępstw jest dzisiaj na Opolszczyźnie stu procentowa. Śledztwo uwzględnia trzy kierunki: napad rabunkowy; porachunki osobiste lub związane z pełnionym urzędem albo motyw polityczny. Wiadomo, że w ostatnim okresie Przewdzing otrzymywał pogroźki o zabarwieniu nacjonalistyczno-szowinistycznym; także groźby śmierci. Chodziło głównie o kwestię autonomii gospodarczej dla Śląska i innych regionów kraju. Przewdzing, samorządowiec z blisko 40-letnim stażem, był przeciwny prawu, które pozwala firmom płacić podatki poza miejscem prowadzenia działalności. Widział, jak z roku na rok topnieje kasa Zdziechowic – gminy zaliczanej w latach 90. do najbogatszych w kraju. Podmioty gospodarcze lokowały swoje siedziby poza miastem i województwem – przede wszystkim w Warszawie. Dlatego domagał się większej niezależności ekonomicznej od centrum. Ale słowo „autonomia” w ustach działacza niemieckiego działało jak płachta na byka. Na wszystkich: od skrajnej prawicy, przez centrum, po lewicę. Stał się separatystą i secesjonistą. Tu jest Polska! – wyrażano pod jego urzędem. Pożegnano Dietera Przewdzinga z nadzieją, że nie zabiła go nacjonalistyczna nienawiść.

JAN DZIADUL

Jan Koza:



© JAN KOZA

25.05 do Brukseli

Niemal niezauważona, przysłonięta przez kryzys na Ukrainie, zaczęła się kampania wyborcza do Parlamentu Europejskiego. Bronisław Komorowski zarządził wybory na 25 maja. Przez większość Polaków traktowane jako nieistotne – frekwencja w 2009 r. wyniosła niecałe 25 proc., a ostatni sondaż CBOS wskazuje, że w tym roku może być jeszcze niższa. Udział w głosowaniu zapowiada mniej badanych niż w tym samym momencie w 2009 r. Od tamtego czasu zmieniło się jeszcze jedno. Wtedy zagadką była skala zwycięstwa Platformy nad PiS, dziś słychać raczej pytania, jak bardzo z PiS przegra. Wybory europejskie będą pierwszą kampanią, w której na korzyść Platformy nie będzie działał strach przed PiS. Wspomnienia IV RP wyblakły, próby rozliczenia tych czasów spęłzy na niczym, rząd Tuska Polacy oceniają dziś (choć zapewne z innych przyczyn) równie surowo jak rząd Jarosława Kaczyńskiego. – *Pytanie brzmi, czy partia będzie się umiała dostosować do nowych warunków, czy nie zwyciężą stare schematy?* Do których, jak słyszę od polityka Platformy, przywiązany jest sam Tusk. Zarys kampanii PO jest już gotowy. – *PiS chce uciec od tematów europejskich, wydać nam bitwę o ocenę dorobku rządu. Nie oddamy pola* – zapowiada polityk PO. To plan na kwiecień; im bliżej wyborów, tym więcej ma być Europy w kampanii PO. – *Buzek szefem europarlamentu i 300 mld dla Polski, tym się będziemy chwalić. Przygotowaliśmy listę osiągnięć w tej kadencji* – dodaje mój rozmówca. Inny zaznacza: – *Kluczowe będzie przekonanie Polaków, że w tych wyborach chodzi o coś innego niż załatwienie kilkunastu kolegom wysokich pensji. Jak*

to zrobić? – *Mogliśmy np. przekonywać, że głosując na PO, możemy przyczynić się do tego, że Tusk zostanie szefem Komisji Europejskiej. Albo Radosław Sikorski – szefem unijnej dyplomacji. Ale obawiam się, że nie dostaniemy na to zgody.*

Bo, jak w każdej kampanii PO, także w tej funkcjonować będzie dwuwładza. Formalnie rządzi sztab i jego szef, ale strategiczne decyzje będą należały do Donalda Tuska. W 2011 r. szefem kampanii był Protasiewicz, ale bywało, że jego decyzje odwracał premier ze swoim otoczeniem. Pieczęćowicie przygotowują strategię może też naruszyć rozwój sytuacji na Ukrainie. Na 25 maja planowane są tam wybory prezydenckie, ale jeśli dojdzie do nowych zamieszek, to polskie partie będą musiały modyfikować swoje plany.

Powoli wykluwają się też personalia. 22 marca rada krajowa zatwierdzi listy wyborcze, które najpóźniej 15 kwietnia trzeba zgłosić w Państwowej Komisji Wyborczej. Znajdą się na nich kluczowi europostulowie: Jerzy Buzek i Jan Olbrycht (Śląsk), Jacek Protasiewicz (Dolny Śląsk), Danuta Hübner (Warszawa), Róża Thun (Małopolska i Świętokrzyskie), Jacek Saryusz-Wolski (Łódź). Z Pomorza będzie zapewne kandydował komisarz Janusz Lewandowski. Wystartują także byli ministrowie – Barbara Kudrycka (Podlasie) i Michał Boni. Z Bonim partia ma zresztą problem. – *Zapał się, żeby kandydować w Warszawie, choć moim zdaniem dużego większe szanse miałby jako „jedynka” w innym okręgu niż jako „dwójka” w Warszawie, gdzie musiałby konkurować z obecnymi europostulami Hübner i Pawłem Zalewskim* – mówi ważny polityk PO. Decyzja w sprawie okręgu dla Boniego jeszcze nie zapadła, podobnie jak w przypadku Dariusza Rosatiego i Jacka Rostowskiego.

W grę wchodzi Pomorze Zachodnie, Mazowsze, Wielkopolska i Kujawsko-Pomorskie. Platforma już liczy straty, które poniesie w porównaniu z obecną kadencją, gdy wprowadziła do europarlamentu 25 deputowanych. – *Nasz cel to 20 mandatów. 18–19 to jeszcze nie dramat, klęską byłoby 15* – uważa europoseł Platformy. Rozmawiamy w Krakowie na spotkaniu Europejskiej Partii Ludowej (międzynarodowe ugrupowanie, do którego należą PO i PSL). Mogło być nieoficjalną inauguracją kampanii, miał przemawiać Tusk, ale nie przyjechał, bo szykował się do rady kryzysowej w sprawie Ukrainy. Z Krakowa szybko wyjechał też lider PO w europarlamencie Protasiewicz, który w Warszawie zorganizował pierwsze posiedzenie sztabu wyborczego. Weszli do niego m.in. postowie Paweł Olszewski i Jakub Rutnicki oraz były wiceminister rozwoju regionalnego, a obecnie doradca w Kancelarii Premiera Konrad Niklewicz. Europosłanka Róża Thun i minister administracji Rafał Trzaskowski będą odpowiedzialni za komitet honorowy. Sztab będzie miał wsparcie Szymona Milczanowskiego, specjalisty od wizerunku, który pomagał Platformie w kampanii 2011 r. i referendalnej w Warszawie.

Choć na razie zanoszą się na przegraną Platformy, to sondaże eurowyborcze obciążone są pewną skazą. Nie uwzględniają bowiem bardzo niskiej frekwencji. W lutowym badaniu TNS Polska PiS prowadził z Platformą 29 do 19 proc., ale udział w głosowaniu zapowiedziało aż 48 proc. badanych. Trudno ocenić, jak zmieniłyby się wyniki sondaży, gdyby odsiać tych, którzy w rzeczywistości nie zagłosują. Innymi słowy, dopiero 25 maja dowiemy się, która partia ma najbardziej zmobilizowanych wyborców.

WOJCIECH SZACKI

portrety miast polskich



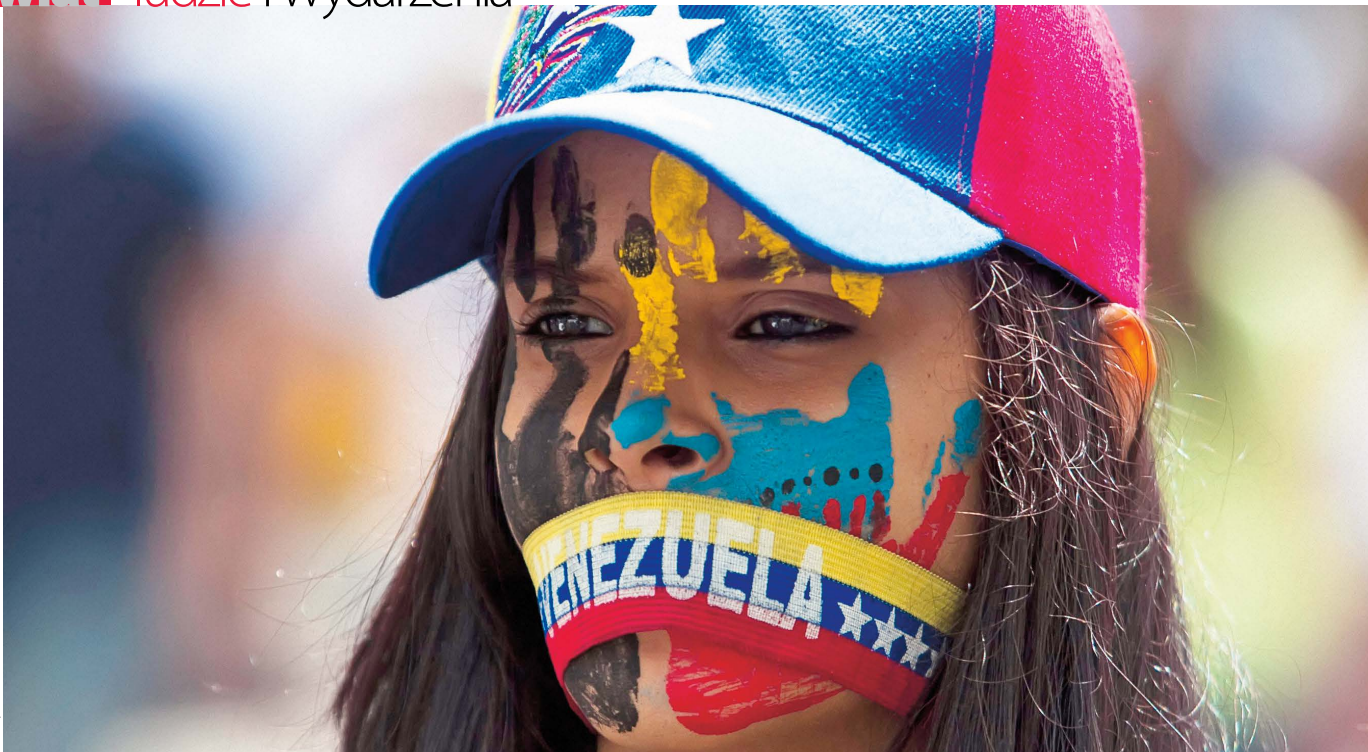
Bydgoszcz i Toruń czy Toruń i Bydgoszcz?

Po raz pierwszy w historii POLITYKI kilka stron tego wydania jest wydrukowanych do góry nogami: to bydgoska część naszego kolejnego dodatku z cyklu „Portrety miast polskich”, poświęconego dwóm stolicom województwa kujawsko-pomorskiego, czyli Toruniowi i Bydgoszczy. Miasta te od dawna dzieli głęboki, irracjonalny i niezrozumiały w reszcie kraju konflikt. Symboliczną ilustracją tego jest szczególna forma naszego dodatku: Toruń ma swoją okładkę, Bydgoszcz po odwróceniu numeru – swoją, a artykuły, numerowane cyframi rzymskimi, idą ku środkowi, w zderzenie. Przepraszamy mieszkańców Bydgosz-

czy, gdyby ktoś uznał za despekt, że to teksty o ich mieście, a nie o Toruniu drukujemy w postaci odwróconej, ale można przecież ten przypadkowy wybór potraktować także jako swoisty przywilej, graficzny dowód odrębności. Mówiąc nieco poważniej: mieszkańcom, a zwłaszcza władzom obu miast chcemy powiedzieć, że bez



odpuszczenia bezsensownej, nieproduktywnej rywalizacji obu miast będą tracić swoje szanse rozwojowe. Bydgoszcz i Toruń to są dobre do życia miasta, ale to i owo trzeba w nich przestawić z głowy na nogi. Polecamy lekturę dodatku – s. 51 lub 66.



© EPA/PAP

Gorąco też w Wenezueli

Nazwali się Tupamaros, na cześć słynnej partyzantki urugwajskiej z lat 60. i 70. Jeżdżą na motocyklach, na co dzień zajmują się promocją sportu i kultury w slumsach Caracas, ale gdy dochodzi do ulicznych zadym, zamieniają się w prorządową bojówkę, broniącą rewolucji Hugo Cháveza, której przywódcą po śmierci ojca-założyciela jest prezydent Nicolas Maduro. Ich hasłem zawsze było „Rewolucja – z Chávezem lub bez Cháveza”, co znaczyło, że gdyby wódz zdradził, daliby mu popalić. Znaczy też, że nie dadzą się podporządkować władzy, nawet tej, którą popierają. Właśnie przekonuje się o tym Maduro, który nakazał aresztować „tych, którzy podają się za chawistów i zastraszają klasę średnią”.

Od miesiąca Wenezuelą wstrząsają manifestacje przeciwników rządu i Tupamaros mają na koncie pobicia demonstrantów. Niepełna rok po śmierci wodza podzielona opozycja skrzykuje marsze antyrządowe. Z sukcesem. W kraju od lat galopuje inflacja i rośnie przemoc uliczna, Caracas to jedno z najbardziej niebezpiecznych miast w regionie. Maduro nie panuje nad swoimi. Nakazał aresztowanie policjantów, którzy – jak twierdzi – wbrew rozkazom otworzyli ogień do protestujących. Podczas dramatycznej konferencji prasowej prezydent ogłosił, że wewnątrz obozu władzy przygotowuje się zamach stanu przeciwko niemu. Nie powiedział, kto, ale prawdopodobnie chodzi o Diosdada Cabella, szefa parlamentu, byłego wojskowego, który aspiruje do spuścizny po Chávezie. Wielu boi się Cabella w roli wodza: ma reputację zamordysty. Opozycja nie ustępuje. Ciąg dalszy wkrótce nastąpi.



© REUTERS/FORUM

Śmierć gejom!

Są robactwem, rząd będzie zwalczał ich z zaciekleścią, z jaką wybija się malaryczne komary – zapowiedział w telewizyjnym orędziu z okazji dnia niepodległości prezydent Gambii Yahya Jammeh. Gambijski dyktator, znany m.in. z przeprowadzania publicznych egzorcyzmów i leczenia w ten sposób AIDS, od lat prowadzi antygejowską kampanię, nazywając gejów zagrożeniem dla ludzkości. I nie jest na kontynencie odosobniony, homofobiczną ścieżką kroczy większość afrykańskich rządów. Od stycznia „promowanie homoseksualizmu” w Nigerii jest zagrożone karą 10 lat więzienia, a w Ugandzie prezydent Yoweri Museveni właśnie podpisał ustawę, pozwalającą sądom skazywać lesbijki i gejów na dożywocie (dotąd maksymalna kara wynosiła 14 lat). Nie pomógł Barack Obama, który groził zatrzymaniem 400 mln dol. corocznej pomocy. Bardziej wpływowo okazał się niejaki

Simon Lokodo. Ten byłby ksiądz katolicki, obecnie ugandyjski minister etyki i prawości, zwolennik profilaktycznego gwałcenia lesbijek jako sposobu nawracania na heteroseksualizm, podpowiada, że kontakty seksualne osób tej samej płci nie leżą w naturze Afrykanów. Sam Museveni, podobnie jak wielu jego afrykańskich kolegów, w tym 90-letni Robert Mugabe z Zimbabwe, twierdzi, że homoseksualizm to styl życia, który Zachód usilnie promuje, by osłabić Afrykę. Organizacja Human Rights Watch podaje, że w 38 z 54 państw Afryki homoseksualizm jest przestępstwem, a m.in. w Mauritani, Sudanie Płd., w północnej Nigerii i południowej części Somalii zagrożony jest karą śmierci. W niektórych krajach, w tym Ugandzie, karanie praktyk homoseksualnych jest pozostałością przepisów obowiązujących jeszcze w kolonialnych kodeksach karnych. Politycy nie wykreślają ich z katalogów przestępstw, by nie iść na przekór konserwatywnym społeczeństwom i przywódcom religijnym.

El Chapo pojmany

Joaquín Guzmán Loera nie wygląda na arcyprzestępcę. Jak większość szefów wielkich grup gangsterskich ma raczej aparycję niegroźnego księgowego w średnim wieku. Meksykańscy prokuratorzy dowodzą jednak, że El Chapo (Mały) zarządzał najbardziej wyrafinowanym przedsiębiorstwem narkotykowym w dziejach. 13 lat temu, chowając się w wózku z praniem, uciekł z więzienia. Wolność gwarantował sobie, korumpując i zastraszając meksykańskich policjantów i polityków. Kiedy próbowano go łąpać, wymykał się z domów systemami tuneli, właz jednego znajdował się np. pod wanną. Głównym zajęciem El Chapo był przetrzut pełnego asortymentu narkotyków pochodzących z Azji i Ameryki Płd. dalej na Północ oraz do Europy i Australii, obsługiwał w ten sposób około pół setki państw. Kartel z Sinaloi dostarczał przez lata większość marihuany i kokainy,



© EPA/PAP

którymi odurzały się USA. Organizacja jest również jedną z najważniejszych stron wojny narkotykowej prowadzonej w Meksyku od 8 lat, która pochłonęła ponad 100 tys. ofiar.

Meksykańska piechota morska, wspierana przez Amerykańską Agencję

Antynarkotykową, wyciągnęła El Chapo z łóżka o świcie w ostatnią sobotę lutego. Odnaleziono go w hotelu nad brzegiem Pacyfiku bez broni i ochroniarzy, schwytano bez jednego wystrzału. Specjaliści zgodnie twierdzą, że aresztowanie bossa ma przede wszystkim rangę symbolu. El Chapo może i zakończył edukację po trzech klasach podstawówki, ale poukladał kartel tak dobrze, że ten – niestety – poradzi sobie świetnie i bez jego kierownictwa.



© DPA/PAP

Bajka o miliarderze Koumie

Wnatłoku dramatycznych wydarzeń to akurat przeszło na Ukrainie prawie niezauważone, choć jest niezwykle, a przy tym moralnie budujące. Oto 37-letni **Jan Koum** pochodzący z podkijowskiej wioski z dnia na dzień został multimiliarderem. Jak? Facebook kupił za 19 mld dol. WhatsApp, aplikację mobilną, którą Koum wymyślił i rozwinął. Sam twórca aplikacji, jako współwłaściciel firmy WhatsApp, zyskał na tej transakcji 6,8 mld dol. Koum jako 16-latek wyemigrował z matką do Kalifornii, a pierwszy komputer sprawił mając 19 lat. I się w nim zakochał. Należał do grupy zdolnych hakerów, na studiach, po godzinach, opiekował się komputerami w Yahoo, gdzie – rzuciwszy naukę – przepracował, z malejącą satysfakcją, długie 9 lat.

Mobilny komunikator WhatsApp powstał cztery lata temu. Początkowo miał zawiadamiać krąg znajomych, co kto właśnie robi i kto jest poza zasięgiem. Właściwie przez przypadek stał się największym konkurentem esemesów, tanim i dającym więcej możliwości. Sukces nie był wcale oczywisty, w przypływie desperacji Koum starał się nawet o pracę w Facebooku, ale jej nie dostał. Później zadziałał efekt kuli śnieżnej i dziś WhatsApp ma na świecie 450 mln użytkowników, a codziennie przybywa ponoć kolejny milion. O Koumie niewiele wiemy, bo jak ognia unika reklam, lansu i dziennikarzy, na budynku firmy, zatrudniającej 100 osób, nie ma nawet logo („Po co? Wszyscy wiemy, gdzie pracujemy”). Miliardową umowę z Facebookiem podpisał zaś w dawnym budynku pomocy społecznej w Mountain View, gdzie jako nastolatek stawał w kolejce po kartki na żywność. Piękna historia, potwierdzająca magię Ameryki. Gdyby tak mogło być i na Ukrainie.

Wszyscy jesteśmy Ukraińcami



Jerzy Baczyński

komentarz

W tych dniach wszyscy byliśmy Ukraińcami. Jakbyśmy jeszcze raz przeżyli własną skondensowaną historię: Solidarność, stan wojenny, ZOMO na ulicach, panikę władzy, chwile nadziei i grozy. W naszej historii nie było jednak czegoś takiego jak zimna egzekucja wykonywana przez ukrytych snajperów na zwykłych ludziach, którzy zbuntowali się przeciw skorumpowanej i wyobcowanej władzy. Czarny kijowski czwartek 20 lutego przejdzie do historii Ukrainy i Europy – oby jako punkt zwrotny, ostatni taki dramat oglądany za naszego życia.

Kiedy przed trzema miesiącami zaczynała się okupacja Majdanu, mieliśmy w pamięci podobne sceny z pomarańczowej rewolucji, która przyniosła Ukraińcom wielkie rozczarowanie i wstyd. Nikt chyba nie wierzył, że legalnie wybrany prezydent, dysponujący parlamentarną większością, poparciem gospodarczych oligarchów, armii, milicji i samego Putina może zmienić swoją politykę, a co dopiero ustąpić i uciec pod naciskiem, praktycznie bezbronnym, demonstrantów. Ale zdarzył się fenomen Majdanu. Patrzyliśmy ze zdumieniem, jak Majdan zmienia się najpierw w obozowisko rodem z zaporoskiej Siczy, potem w minirepublikę, z własnymi służbami, radą deputatów, niekończącymi się debatami, ale i niezwykłą samodyscypliną i zdolnością mobilizacji. Demokracja bezpośrednia, jakiej współczesna Europa u siebie nie widziała. Anonimowy Majdan, pospolite ruszenie wolnych obywateli, stał się nagle centrum władzy politycznej w wielkim europejskim kraju. Niebawem.

Dziś widać, jak ciężki błąd popełnili Putin i Janukowycz, kiedy postanowili odciąć Ukrainę od Zachodu, utrwalając tam na lata postsowiecką wersję satrapii. Coś się musiało stać w społeczeństwie ukraińskim w ciągu zaledwie dwudziestu paru lat odzyskanej niepodległości, czego władza nie zrozumiała. Odzyskane poczucie tożsamości, ale też zmęczenie korupcją, beznadzieją, kryzysem gospodarczym i aspiracje, zwłaszcza młodego pokolenia, aby żyć tak jak ich rówieśnicy za miedzą w Unii Europejskiej. Na żadnym kawałku kontynentu Unia nie ma dziś tyłu zwolenników co na Ukrainie. Przywódcy europejscy, wymięci i znuzeni trwającym kryzysem strefy euro, unijnych instytucji, wzajemnymi pretensjami musieli sobie przypomnieć, pod wpływem Majdanu, po co ojcowie założyciele budowali tę utopijną konstrukcję.

Nie wiadomo, jak potoczy się sytuacja na Ukrainie, jakie jeszcze będziemy obserwować tam polityczne i społeczne konwulsje. Jedno nie ulega wątpliwości: Ukraina zgłosiła swój akces do Europy. Dla Polski, która pierwsza uznała niepodległość tego kraju, to historyczne zobowiązanie. W ostatnich tygodniach zyskaliśmy na Ukrainie mnóstwo przyjaciół, szacunek i wdzięczność, ale i Ukraińcy niesłychanie nam zaimponowali. Dobry początek długiej wspólnej drogi.

O Ukrainie – Ziemowit Szczerek – s. 10,
Piotr Andrusieczko – s. 16.



© AP/PEAK NEWS



© LESZEK ZYCH

Ziemowit Szczerek, dziennikarz, pisarz, laureat tegorocznego Paszportu POLITYKI w dziedzinie literatury za zbiór reportaży o współczesnej Ukrainie, relacjonuje przebieg zimowej rewolucji we Lwowie i w Kijowie.

Wszyscy zwiali

Kierowca marszrutki, starego busa jadącego do Lwowa, pan Sławik, wcisnął przyciski przy tablicy rozdzielczej, aż w końcu znalazł program ukraińskiej sekcji Polskiego Radia. Spikerka mówiła po ukraińsku nie tylko z polskim akcentem, ale też z mocną manierą polskiego dziennikarza radiowego. Na Majdanie ginęli ludzie. Tusk wzywał do dialogu, Sikorski też.

– Ież to można – narzekał pan Sławik. – Trzeba się odłączyć od tego cholernego wschodu, jak długo on nas będzie jeszcze do tej Rosji ciągnął.

– A jak – spytałem – granicę poprowadzić? Zacznie się kraj dzielić, to czegoś takiego – wskazałem palcem radio, w którym mówiono o snajperach i Berkucie – będzie jeszcze więcej. – Przecież oni mają nas dosyć – tak samo jak my ich – odpowiedział pan Sławik.

Za oknem wolno sunęły badziewne neony i szyldy Mostysk. O zmroku wyglądało to jak polskie miasteczko, w którym ktoś nocą zamienił łacinę na cyrylicę. I może to całe nieogarnięcie trochę bardziej podkreślił. Ale tylko trochę. To samo w Horodoku. Później znów zapadła ciemność, a później znów zaświeciły się neony i oświetliły powykrzywiane przedmieścia Lwowa.

Mój Boże – lamentowała właścicielka kwatery, w której się zatrzymałem. Telewizor chodził na okrągło, i znów: niebo nad płonącym Majdanem wyglądające jak pomarańczowe piekło, trzeszczące głosy komentujących. Czajnik z wodą na herbatę bulgotał na kuchence i ryczał parą, ale właścicielka była zbyt za-

aferowana, żeby na to zwracać uwagę. – Mój wnuczek chce jechać na Majdan. Błagam go, zostań, Jura. Tam wojna.

Później przyszedł wnuczek Jura. Opowiadał, że w centrum miasta stoją autobusy dla tych, którzy chcą dostać się na Majdan. Ale nie jadą prostą drogą, bo milicjanci zatrzymują je na drodze przed Kijowem, więc jadą jakoś naokoło, wsiami. Albo jeśli trzeba, przez las idą.

Babcia na przemian lamentowała, namawiała wnuczka, żeby nie jechał, wnuczek pił herbatę ze smutną miną i nie reagował, wyklinała Janukowycza, wyrażając pięściami w stronę telewizora, i co chwila odbierała telefony od swoich znajomych, z którymi wymieniała informacje na temat wydarzeń w Kijowie.

Na ulicach Lwowa nie było ani jednego milicjanta. Ani pół radiowozu. Na ul. Bandery było ciemno i cicho. Sam Bandera, wielgachny, stał na cokole i wydawał się w tym mroku ociężały i obojętny. Szedłem w stronę lokalnego Euromajdanu i oglądałem wysprejowane na murach krzyże celtyckie i napisy Prawy Sektor. Nie było ich, gdy byłem tu ostatni raz. Tu i tam wisiły poprzyklejane kartki A4 z drukarki z napisem „Majdan jest tam gdzie ty” i „Jedź na Majdan, nie bój się”.

Dopiero w centrum było widać podniecenie. Podniesione głosy, rwane, nerwowe dialogi, pokrzykiwania do komórek. Kręcili się nastolatki ubrane tak, jak to widzieli na fotkach z Majdanu w Kijowie: maski z trupimi czachami na twarzach, rowerowe hełmy na głowach i ochraniacze na nogach i rękach. Z plecaków wystawały im rękojeści pał. Wyglądało to *cool* i nikt nie wątpił, że o to chodziło. Strzelali wzrokiem dookoła i wyglądali, jakby zaraz mieli skoczyć komuś do gardła, tyle że za cholerę nie było komu. Lwów, jak cała zachodnia Ukraina, nienawidził Janukowycza.

Włożyłem w komórkę ukraińską kartę i połączyłem się z netem. Sprawdziałem newsy. Tu, we Lwowie, demonstranci blokowali wojsko i milicję, w Odessie – Berkut jadący na Majdan. Ale władza nie odpuszczała: poza snajperami zaczęli też strzelać tatuszki, opłacani przez władze dresiarze, do tej pory posługujący się jednak głównie pięściami i butami. Majdan też wyszczerzał połamane pałami zęby: pobitych Berkutów brano do niewoli i prowadzono, zgiętych wpół, na Majdan. Pod samym nosem tatuszek w parku Marińskim, gdzie ci wynajęci żule umościli sobie matecznik – majdanowi bojownicy budowali barykadę.

Lwowski Euromajdan nie był wielki: parę namiotów, scena, ekran. Na ekranie płonął Majdan kijowski. Przed namiotem z napisem „punkt informacyjny” kręcił się tłumek w kaskach. Dowiedziałem się, że jestem w samą porę, bo właśnie naród zdobywa kilka budynków. W tym lwowski wydział MSW. Nieopodal, o tu, kawałek, po sąsiedzku.

Wyglądało to tak: ulicą Hnatiuka, w stronę zdobywanego MSW, ciągnął tłum. Już zza zakrętu widać było blask płomieni i niesło się pokrzykiwanie „Sława Ukrainie” i odkrzykiwanie „Herojam sława”. Przed MSW płonął ogień. Czuć było smród opon. Chłopaki w rowerowych i narciarskich kaskach, przemieszani z kolesiami z szalikami Karpat Lwów, próbowali włamać się do budynku z boku. Wyrywali kraty z okien i walili pałami w szyby. Rozorywał uszy dźwięk tłuczonego szkła, wściekłych uderzeń w okiennice i drzwi, w tle szumiał tłum. Ludzie filmowali to wszystko komórkami, palili papierosy i komentowali radośnie. Jakiś skałotaz wdrapał się po fasadzie budynku na wysokość kamery przemysłowej i załatwił ją kilkoma mocnymi kopami. Zwisła na kablach, tłum bił brawo. „Mołodec!” – krzyczano.

Smokowi zabijanemu przez świętego Jerzego na pomniku stojącym przed MSW nałożono beret milicjanta. Chłopaki włożyli

na pomnik, łapiąc Jerzego za tyłki, żeby nie zlecieć, i pozwali swoim dziewczynom do zdjęć.

No właśnie. Poza smokiem milicji w ogóle nie było. Wśród pohukującej gawiedzi kręcili się, co prawda, jacyś wyglądający na tajniaków faceci i zachowywali się dokładnie tak, jak tajniacy na filmach (ogarniające spojrzenia spod poważnie zmarszczonych brwi, krótkie zdania rzucone do telefonów), ale żadne samochody na sygnale nie nadjeżdżały. Poza samochodem strażaków. Ci wysiedli, popatrzyli z rezygnacją na to, co się dzieje, po czym zapalili papierosy i stali, zerkając ponuro to na nastolatków w kaskach, to na budynek, z którego okien zaczęto właśnie wyrzucać dokumenty, sprzęty, trupy komputerów. I co tam jeszcze mogło znajdować się w biurach.

Milicji nie było.

Ze spotkaniami znajomymi włóczyliśmy się po mieście. W Bukowskim, spelunowatej, ale klimatycznej knajpie, jedynej, w której nikt nie przejmuje się ogólnokrajowym zakazem palenia w lokalach, pito za Majdan. Wszyscy patrzyli na powieszony nad barem telewizor. Po paru godzinach wróciliśmy pod MSW. Prawie nikogo już nie było: rewolucja na dziś się skończyła i Lwów poszedł spać. Młode chłopaki postawieni na warcie, oparci o blaszane, milicyjne tarcze, wyglądali na nieco przestraszonych, ale mocno przejętych swoją rolą. Nie chcieli nas wpuścić do środka głównym wejściem, powołując się na wyższe siły, dobro rewolucji, bo w środku ważne dokumenty, i odwieczny argument, że nie ma tam nic do oglądania. Weszliśmy więc wejściem bocznym, niepilnowanym. Łaski bez. Wnętrze było splądrowane, serwerownia – rozwalona. Trzeba było przyznać rację chłopakom z warty: do oglądania w środku naprawdę niewiele było. Za to na zewnątrz – jak najbardziej. Pośród wyrzuconych na ulicę nadpalonych śmieci leżały urzędowe dokumenty, których strzegli wartownicy, rozbite komputery, z których kilku kolesi wymontowywało dyski, grzejnik, który pod kątem używalności oglądało kilku panów w średnim wieku, album ze zdjęciami któregoś z urzędników, wielka administracyjna mapa Ukrainy i kilka spalonych mundurów. Ktoś uratował z pożogi ikonę i ułożył ją pieczołowicie na ramie wybitej okiennicy.

Okoliczne ulice zagrodzono barykadami. W całym mieście ucierpiała tylko jedna jedyna „cywilna” witryna sklepu, mięsnej sieciówki Rodynna Kowbaska. Jak plotkowała ulica, dlatego że rzeczona sieciówka należała do członka Partii Regionów.

Cóż było robić, wróciliśmy do włóczenia się po mieście. Majdan opustoszał: kilkanaście osób oglądało relację z Kijowa, gdzie piekło się nie kończyło: Berkut nacierał na barykady, Samoobrona Majdanu trzymała linię jakimś niewyobrażalnym wysiłkiem. Śmierdziało rozpaczą i śmiercią, i to było przerażające. Poszliśmy do Kryiwki, knajpy znanej z tego, że jest otwarta do późna i wystylizowana na coś w rodzaju upowskiego parku tematycznego: na ścianach wiszą stare antymoskalskie (ale nie antypolskie) plakaty, nostalgiczne zdjęcia banderowskich partyzantów pośród sosen, a drzwi strzeże wielgachny chłop w mundurze i – żeby wpuścić – trzeba mu powiedzieć „sława Ukrainie”, na co on odpowiada „herojam sława” i polewa kieliszek wódki z manierki. Kilku nastolatków z prowincji pozowało do fotek z kałasznikowem, który wisi w Kryiwce przypięty do ściany na łańcuchu, żeby nikt go nie wyniósł niesiony pijackim, patriotycznym entuzjazmem. Lyse i uszate chłopaki opowiadały sobie z wypiekami na twarzy, co tam też się dzisiaj działo wieczorem w mieście, jak ładnie się paliło i jak leciały szyby.

Na drugi dzień Lwów był trochę obrażony na lokalną rewolucję, którą w mediach zdążono już nazwać Dniem gniewu. Zgadzano się, oczywiście, że Janukowycza i jego administrację trzeba wyciąć i wykarzcować, ale – na Boga – czy to musi tak brzydko wyglądać? We Lwowie? Palić budynki użyteczności publicznej? Wyrzucać dokumenty z okien? Przecież ktoś to będzie musiał ►